

Najcudowniejsza przygoda

I odchodząc stamtąd, ujrzał Jezus człowieka, siedzącego przy cle, imieniem Mateusz, i rzekł do niego: Pójdź za mną. A on wstał i poszedł za nim. A gdy Jezus siedział w domu za stołem, wielu celników i grzeszników przyszło i przysiedli się do Jezusa i uczniów Jego. Co widząc faryzeusze, mówili do uczniów Jego: Dlaczego Nauczyciel wasz jada z celnikami i grzesznikami? A gdy (Jezus) to usłyszał, rzekł: Nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, co się źle mają. Idźcie i nauczcie się, co to znaczy: Miłosierdzia chcę, a nie ofiary. Nie przyszedłem bowiem wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników” – Ewangelia św. Mateusza 9:9-13.

Wszyscy słuchamy chętnie opowiadań o czyichś przygodach i sami też lubimy je opowiadać innym. Wydaje się, że już z tego powodu powinno nas zainteresować opowiadanie, z jakim zapoznaje nas dzisiejszy tekst. Przedstawia on bowiem przygodę pewnego człowieka, znanego pod imieniem Lewi, którego lepiej znamy pod imieniem Mateusz. Przygoda, jaka mu się przydarzyła, była tak wspaniała, iż możemy śmiało powiedzieć, że była najcudowniejszą przygodą jego życia. Jej cudowność polega między innymi na tym, że chociaż była to jego osobista przygoda, zdarzyła się ona już wielokrotnie za jego życia, a może się powtarzać i istotnie powtarza się po dzień dzisiejszy. My także możemy przeżyć podobną przygodę, a niejeden już ją z pewnością przeżył. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

Tego dnia siedział Mateusz, jak zwykle, na cle i pobierał od przejeżdżających kupców opłatę. Miasto Kafarnaum, gdzie pracował i mieszkał, stanowiło ważny węzeł drogowy. Tu drogi się krzyżowały i rozchodziły w różne strony: na północ – do Damaszku, na południe – do Jerozolimy i dalej do Egiptu, na wschód – w stronę pustyni Chauranu i na zachód – do krainy fenickiej. Kupcy przewozili tędy towary, a celnicy ściągali od nich cło.

Na Mateusza patrzono różnie. Rzymianie widzieli w nim użytecznego człowieka, który wydzierżawiwszy od nich punkt celny zasilał skarb cesarski w Rzymie. Żydzi natomiast uważali go po prostu za zdrajcę, który pomagał rzymskim zaborcom ciemnić lud wybrany – i odnosili się do niego z nienawiścią i pogardą. Wszyscy zaś dopatrywali się w nim, jak i w innych celnikach, oszusta, który bogacił się nieuczciwie przez pobieranie nadmiernych opłat. Mówiąc krótko, powiedzielibyśmy dziś, że Mateusz miał mocno zszarganą opinię.

Czy jednak ludzie dobrze go widzieli? A przede wszystkim, czy widzieli wszystko? Jakże często patrzymy powierzchownie! Nasze oczy ślizgają się nieraz powierzchownie i nie docierają do głębi. Cóż wiemy istotnego o

setkach ludzi, których spotkaliśmy w życiu, co możemy powiedzieć o tym, co dzieje się w ich sercach, kim oni są w istocie. Patrzymy od zewnątrz i jakże często najistotniejsza treść życia drugich bywa ukryta przed naszymi oczyma. A iluż ludzi zna nasze pragnienia, tęsknoty, niepokoje, mniejsze lub większe ukryte tragedie, myśli i uczucia? Serca miewają swoje tajemnice, których strzegą zazdrośnie.

Tak właśnie było z owym Mateuszem. Siadywał na cle, ludzie znali go z widzenia i imienia, mijali go i mieli o nim swoje zdanie, lecz nikt z nich nie wiedział, co się naprawdę działo w jego sercu. Tymczasem! On sam – czy był zadowolony z siebie? Czy miał ku temu powody? Czy nieuczciwość, oszustwa, krzywdy wyrządzone drugim mogą być podstawą zadowolenia, wewnętrznego pokoju, fundamentem szczęścia? Nigdy! Przenigdy! O, gdyby Mateusz chciał otworzyć usta i zaczął mówić, mógłby na pewno niejedno o sobie powiedzieć. Przede wszystkim z pewnością to, że w życiu, jakie prowadził, gnieździło się mnóstwo obrzydłego robactwa, które podgryzało pokój jego serca, że na drogę jego życia padał cień grzechu rzucający chłód i mrok na jaśniejsze chwile i że ten cień budził ustawicznie lęk. Może mógłby też coś powiedzieć o obrzydzeniu, jakie człowiek odczuwa do samego siebie, gdy uwikła się w miłość do tak martwych rzeczy, jakimi są pieniądze czy złoto. Gdy się uważnie wsłuchujemy w proste słowa biblijne naszego opowiadania, wy czuwamy, że celnik Mateusz musiał mieć o wiele bogatsze życie niż to, które z zewnątrz widzieli przechodnie.

W Anglii istnieje od dawna osobny fundusz, który moglibyśmy nazwać funduszem zaniepokojonych sumień. Pewne banki prowadzą bezimienne konta, na które od czasu do czasu wpływają anonimowe wpłaty. Ktoś dopuścił się przed laty jakiegoś sprzeniewierzenia lub w podstępny sposób pozbawił kogoś majątku albo osiągnął na drodze oszustwa dobrobyt. Płynęły lata, miało życie, lecz w sercu pozostawał niepokój i przeradzał się w lęk. Niecny czyn, choć dawno popełniony, żył i zatruwał całe życie. Winowajca, pragnąc się wreszcie pozbyć owego lęku i swojej przeszłości, chce to uczynić na drodze dobrowolnego wyrównania i przesyła na ów fundusz pieniądze, wyjaśniając równocześnie w liście, o co chodzi. Są to czasem drobniejsze kwoty, niekiedy jednak duże sumy, a nieraz olbrzymi majątek. Pieniądze te przekazuje się na zakłady dobroczynne. Treść listów bywa wymowna, niekiedy wzruszająca. Odnosi się do tego, co można by nazwać bilansem życia. Skruszeni winowajcy piszą: Życie jest krótkie i szybko mija, jakże tu odchodzić ze świadomością, że było ono zbudowane na nieprawości, niesprawiedliwości i czyjejś



krzywdzie!... Coś z tych myśli musiało być i w sercu celnika Mateusza, gdyż inaczej nie moglibyśmy pojąć jego dziwnego kroku, że na jedno słowo Jezusa rzucił nagle wszystko – i poszedł za Nim. Grunt pod zasiew był przygotowany. Ludzie przechodzili obok Mateusza codziennie i nie dostrzegali niczego: Jezus spojrzał w oczy i ujrzał od razu to, czego inni nie widzieli: niedolę i tragedię człowieka, który życie swoje chciał budować na nieuczciwości i ludzkiej krzywdzie.

Mateusz miał zapewne piękny dom, w nim komfort i bogactwo, pulchny chleb i miękkie szaty, pieniądze, może także żonę i dzieci... Ale czegoś tu było brak, czegoś zasadniczego: nie było w tym wszystkim zadowolenia ani pokoju, nie było Boga. Wszystko powleczone było jakąś pleśnią, zatrute grzechem, oplakane czyimiś łzami...

II

To ujrzał Jezus i dlatego podszedł i – podał rękę. Pójdź za mną. Patrzymy na tę rękę i zamyślamy się. A jest się nad czym zadumać. Szczegółne i charakterystyczne dla Pana jest to wyciągnięcie ręki do grzesznika. Inni oddalają się od takich jak Mateusz, okazują im niechęć, nie podają ręki. Inni mają dla ludzi ze zszarganą opinią jedynie plunięcie i wzgardę. Jakże inaczej On! Wówczas i dziś. Pan tam właśnie idzie, gdzie najbardziej trzeba leczyć, gdzie najcięższa choroba i największe niebezpieczeństwo. To Go właśnie od innych wyróżnia, to daje przykład godny przemyślenia i naśladowania. Czy my, Jego uczniowie, mamy dość odwagi, aby Go naśladować w tym względzie? I czy się nie warto nad tym zastanowić?

Historia, którą rozpatrujemy, maluje właśnie bardzo wyraźnie obraz owego innego stosunku do grzeszników. Na obrazie tym na pierwsze miejsce wysunięci są faryzeusze. Wiemy, co to byli za ludzie, i za kogo siebie mieli. Umieli myśleć i mówić o sobie samych wyłącznie za pomocą przedrostka „naj”. Lecz to było zawsze niebezpieczne. Byli rzekomo najpobożniejsi, najsprawiedliwsi, najczystszy, a więc nie jako inni ludzie... Tę doskonałość swoją lubili zaznaczać nawet na zewnątrz: ich wyraz twarzy był zawsze nabożny, a na siebie wdziewali białe płaszcze. W stosunku do ludzi, którzy odchylali się od linii ich postępowania – zwłaszcza zaś celników – mieli swoje gotowe zdanie: wyrok potępienia. Myśleli, że jedyne i najważniejsze, co człowiek może zrobić wobec znanego ogólnie grzesznika, jest: rzucić na niego kamieniem potępienia i pójść swoją drogą. Jak gdyby przez to zostało wszystko załatwione! Jak gdyby plunięciem na bliźniego można było cokolwiek zdziałać! Cóż byśmy powiedzieli o lekarzu, który wezwany do chorego, rozpoznaje chorobę, powie: zatruty – i odejdzie!... Tak właśnie postępowali faryzeusze, tak czyni i dziś wielu ludzi. Wiadomo, gdy człowiek znajdzie się w potrzebie, oskarżycieli bywa więcej niż obrońców.

Nie bądźmy jednak gołosłowni i weźmy przykład z powszedniego życia. Są chrześcijanie, którzy się odłączają od drugich, a swój krok uzasadniają tak, jak współcześni Jezusowi faryzeusze. Ich charakterystyczną cechą jest to, że u swoich bliźnich widzą same błędy, zło, grzechy, słabości, a tylko siebie samych uważają za dobrych. Na tych, którzy nie są i nie chcą być dokładnie tacy jak oni, mają zawsze gotowy wyrok potępienia. Dlaczego nauczyciel wasz jada z celnikami i grzesznikami? – przypominają się tu słowa naszego tekstu. A przecież nie tylko Chrystus to wiedział, bo i my wiemy, że ci, co ciskają wyroki potępienia na swoich bliźnich, również nie mają anielskich skrzydeł i że owe gromy miotane na innych rodzą się z próżnej pychy, która też jest chorobą, i to nawet bardzo brzydką i niebezpieczną chorobą serca. O wyciągnięciu ręki do tych, którzy znajdują się w duchowej potrzebie, nie ma u nich ani myśli, ani mowy.

Jakże inaczej czyni Pan Jezus! Ileż w Ewangeliach uderzających przykładów Jego postępowania! Wspomnijmy celnika Zacheusza, który wszedł na drzewo, gdyż był małego wzrostu, a bardzo pragnął widzieć Jezusa. Pan do niego przyszedł w gościnę i ofiarował mu nowe życie. Wspomnijmy upadłą niewiastę. Spotkał ją Jezus na drodze swego życia otoczoną surowymi sędziami z kamieniami w rękach. Czy kamienie byłyby coś istotnego wniosły w jej życie? Nie. Dlatego też Jezus najpierw wytrącił sędziom kamienie z dłoni, a potem nie potępiając jej samej, lecz tylko jej grzech, skierował ją na nową drogę: Nie grzesz więcej. Podobnie też ujrawszy biedną, zgłodniałą duszę celnika Mateusza, nie potępił jej ani słowem, lecz nakarmił. Nie, Pan Jezus grzechu nie lekceważył ani nie chwalił, ale też nie odrzucał grzesznika. Swoje posłannictwo widział najjaśniej tam, gdzie ludzie złożeni ciężką chorobą wyglądali łaski i zmiłowania. Nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, co się źle mają. I nie bez pewnej ironii mówił właśnie o tych, co mieli siebie za sprawiedliwych, że nie przyszedł wzywać sprawiedliwych do pokuty, lecz grzesznych. To było Jego zadanie: nie tylko wskazać grzech i wytknąć, lecz usunąć go, uleczyć. Tam, gdzie była choroba, niósł zdrowie. Szukał tego, co zginęło.

I tego właśnie powinniśmy się uczyć ciągle od Pana Jezusa: Jego spojrzenia pełnego miłości do tych, co się źle mają, i miłosierdzia dla grzesznika. Grzech trzeba nienawidzić, lecz dla grzesznika zachować zawsze miłosierne spojrzenie i wyciągać do niego rękę. Tak bowiem czynił Pan Jezus.

III

Pójdź za mną! Jakże to cudowne, nieprawda? On – ubogi, wzywa do siebie bogatego celnika, aby go stokrotnie, choć zupełnie inaczej, ubogacić. On – nic nie mający, chce go mieć u boku, aby dać mu coś, czego bez Niego mieć nie mógł: nowe spojrzenie na świat – i nowe



życie. A czy to również nie jest cudowne, że tamten w chwili nagłego olśnienia danego mu z łaski ujmuje wyciągniętą dłoń – i idzie, pozostawiając za sobą całe dotychczasowe życie, całą swoją przeszłość? A on wstał i poszedł za Nim. Czy to nie najcudowniejsza przygoda, jaka mogła się przytrafić?

Kiedy dziś patrzymy na nią z oddali, możemy zapytać: Czy łatwo było Mateuszowi ją przeżyć? O czyichś przygodach łatwo się słucho, trudniej się je przeżywa samemu. Taką jednak przygodę trzeba raz przeżyć. Człowiek musi sobie raz poważnie uświadomić, gdzie stoi i przy kim. I musi dać odpowiedź bądź słowem, jak na przykład Jozue: *„Ale ja i dom mój służyć będziemy Panu”*, bądź czynem, jak Mateusz i wielu innych. Bez tego nie może się obejść żaden chrześcijanin. Czy Mateusz żałował swego kroku? Na pewno nie; wyczuwamy to z jego Ewangelii. I my nie żałujemy, bo ów Mateusz

zostawił nam po sobie cenny dar: Ewangelię, którą nazywamy Ewangelią według św. Mateusza. Gdyby pozostał przy swoim bogactwie i zbieraniu pieniędzy, nie zostałoby po nim nic. Więc gdy dziś słuchamy opowieści o jego najcudowniejszej przygodzie, niech nas ona utwierdza w postanowieniu: iść za Panem, z Nim być w dolach i niedolach życia, we wzlotach i upadkach. Co prawda wymaga to nieraz wielu, bardzo wielu wyrzeczeń. Ale nie być z Nim kosztuje zawsze o wiele więcej. Już tu na ziemi. Lecz najwięcej w wieczności, bo przypłaca się to samą wiecznością i życiem. Amen.

A. Wantuła *„Okruchy ze Stołu Pańskiego”*.

Mateusz
R-
„Straż”